

ABRAM TERC

MYŚLI
NIESPODZIEWANE

INSTYTUT

PARYŻ



LITERACKI

1965

ABRAM TERC

MYŚLI

MYŚLI NIESPODZIEWANE

BIBLIOTEKA "KULTURY"
Z KRAJOWEGO GIMNAZJUM
W LUBOWICZACH

INSTYTUT LITERACKI

INSTITUT LITTÉRAIRE

17, avenue de l'Opéra, Paris
par MAISON-LAFFITTE (S.-O.)

MYSŁ NIESPODZIEWANE

BIBLIOTEKA "KULTURY"
Tom CVII

IMPRIME EN FRANCE

Editeur: INSTITUT LITTERAIRE, S.A.R.L.,
91, avenue de Poissy, Mesnil-le-Roi
par MAISONS-LAFFITTE (S.-et-O.)

ABRAM TERC

MYŚLI
NIESPODZIEWANE

Z rosyjskiego przełożył
Józef ŁOBODOWSKI

INSTYTUT

PARYŻ



LITERACKI

1965

Biblioteka Narodowa
Warszawa



30001018155912

Tytuł oryginału:
„MYSLI WRASPŁOCH”

Tegoż autora
w „BIBLIOTECE KULTURY”

Sąd idzie. Co to jest realizm socjalistyczny?; 1959

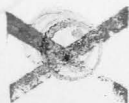
Opowieści fantastyczne, 1961

Fantastyczeskije powiesti, 1961

Lubimow, 1963



II 745.252



© Copyright by INSTITUT LITTERAIRE, S.A.R.L., 1965

1965 W 1585/g

Zachowujesz się jak skończony dureń, ale niekiedy do głowy pchają się doskonałe pomysły.

Biblioteka Narodowa
Warszawa
20010-0155912

Tytuł oryginału:
MARSZ!!!

Jak śmiecie lękać się śmierci?! Przecież to zupełnie to samo, co stchórzyć na polu bitwy. Spójrzcie — dokoła trupy. Pomyślcie o waszych nieboszczykach, o starych rodzicach. Pomyślcie o waszej kuzynce Wieroczce, która zmarła w piątym roku życia. Taka ma-lutka, a umarła, zduszona dyfterytem. A tu dorosły, silny, wykształcony mężczyzna i — boi się... Dosyć już — nie trząść się! Rozweselić się! Naprzód! Marsz!!!

Warszawa, 1944
Pierwsze wydanie, 1941
Lublin, 1943



T 745 152



Wydawnictwo Instytut Literarny, S.A., 1944

Życie człowieka podobne jest do służbowej podróży. Jest krótkie i odpowiedzialne. Nie należy go traktować jako stałe miejsce zamieszkania i zbytnio rozbudowywać gospodarstwa. Ale żyć z opuszczonymi rękami, spędzać czas jak na urlopie, również nie można. Określono ci terminy i wyasygnowano pieniądze. I nie tylko tobie jednemu. My wszyscy na tej ziemi to ani goście ani gospodarze, ani turyści ani tubylcy. Wszyscy podróżujemy służbowo.

A gdybyż tak zostać kastratą — ileż by można było dokonać!

Żeby życie nie stało się zbyt przykre, z góry pocieszamy się, że umrzemy i powiadamy przy byle okazji:

— Raz kozie śmierć, co mi tam!

Za to zuchwalstwo, uważające śmierć za wyjście z gry, prawdopodobnie zostaniemy ciężko ukarani. Natura nie zgadza się na takie łatwe rozstrzygnięcia, jakby chodziło o zakończenie wizyty, kiedy to można wziąć czapkę i powiedzieć: „Już mnie nie ma, a wy zostańcie i róbcie, co się wam podoba”. Prawdopodobnie, na śmierć (nawet pojętą jako zwykłe fizyczne zniknięcie), jak i na wszystko na świecie, trzeba zasłużyć. Natura nie pozwala nam na uprawianie kaprysów w jej własnym domu.

Do Boga należy mieć także zaufanie, jakie ma pies do swego właściciela. Zagwizdziesz — przyleci. Dokałbyś nie poszedł, pies, o nic nie pytając, nie namyślając się, radośnie pobiegnie za tobą chociażby na koniec świata.

Siedziałem w restauracji i rozglądałem się na wszystkie strony. To było w dzień, osób niewiele, a przy tym jakieś przypadkowe, widocznie przyjezdni z prowincji, albo tacy, którym przyszło do głowy, żeby raz w życiu zjeść w luksusowym lokalu. Ja też trafiłem tu przez przypadek i zajęło mnie przyglądanie się tym przypadkowym ludziom.

Wpadło mi w oczy dziewczę, dość pospolite, cała w kędziorkach, o niezmiernie rozwartych ustach. Śmiała się bardzo głośno, pokazując duże zęby. Pewnie z nieprzyzwyczajenia upiła się słodkim winkiem. Przypatrywałem się jej, myślałem, że jest w najwyższym stopniu pokraczna, i oburzała mnie ta jej pokraczność, zadowolona z siebie, niezauważalna przez dziewczynę. Wydawało mi się, że nie ma prawa nie tylko siedzieć przy stole, lecz w ogóle istnieć na ziemi, i zastanawiałem się, jakże ta dziewczyna nie wstydzi się swojej brzydoty i jakże może śmiać się, będąc aż tak potworna.

Nagle przyszło mi na myśl — i to mną wstrząsnęło, tak bardzo wstrząsnęło, że ciągle powracam do tej myśli, chociaż należałoby już o niej zapomnieć — więc przyszło mi na myśl, że właściwie, jakie mam prawo osądzać tę dziewczynę, jeżeli sam Bóg toleruje jej obecność? Jeżeli nam wszystkim, takim brzydkim, takim marnym, Bóg pozwolił istnieć? Siedzimy, pogardzamy sobą nawzajem, gotowiśmy zerzeć jeden drugiego z oblicza ziemi, a On, widząc



dokładnie całą naszą brzydotę, mimo to zgadza się, abyśmy żyli, chociaż za jednym zamachem mógłby przerwać nasze bezczelne, pyszne istnienie. Któż mnie upoważnił, abym nie zgadzał się na istnienie tej pokraki, jeżeli On, piękny ponad miarę, zgadza się, żeby istniała?

Ta świadomość braku racji, oczywistego, bo bez Jego zezwolenia, wtrąciła mnie w nastrój niespodziewanego rozbawienia. Kpiłem z samego siebie, trząsłem się od wewnętrznego śmiechu, zachowując zewnętrzną przystojność, ponieważ znajdowałem się w restauracji nie sam, lecz w towarzystwie przyjaciół. Ale w głębi duszy zataczałem się od śmiechu i chwytalem się za boki, jak gdybym czuł na sobie wyrozumiałe, pieśzcotliwe spojrzenie. Ale moja wesołość była w owej chwili pozbawiona złośliwości i wypełniona wdzięcznością za myśl, która otworzyła mi oczy na to wszystko, również śmiejąc się ze mnie i ze wszystkich jasnym, nieobraźliwym śmiechem. I po dziś dzień mi się wydaje, że Pan Bóg błogosławił mnie wtedy za ów śmiech.



Sztuka jest zazdrosna. Wychodząc z jakichś tam, nic nie mówiących „danych”, sztuka — mocą rozpłomienionej wyobraźni — przedstawia inny wszechświat, w którym wydarzenia rozwijają się w przyspieszonym tempie i w nagiej postaci. Artysta, rozkochany w życiu, powinien być zazdrosny, to znaczy nie wierzyć zewnętrznym pozorom i, odrzucając je od siebie, podejrzewać, że poza ludźmi i przyrodą istnieje coś takiego, czego nikt inny podejrzewać nie byłby w stanie.

W moim mieszkaniu przepaliły się korki. Bardzo smuciłem się, uważałem siebie za straconego i prosiłem Boga o pomoc. Więc Pan Bóg zesłał mi Elektrotechnika. I Elektrotechnik zreperował korki.

Wiem, że to jest tylko bajka. Ale — czy to nie jest bajka? Czy to nie bajka? W tym świecie? Kobieta, która jest tak bardzo atrakcyjna jako zwierzę powściągliwe, wyprzedza siebie tych powściągliwych. Jakiej „Lizy” — czy „Sofii” — „Nikolajewna” staje się kapłanką, posiadając władzę demony. W skowronku nie może być z czarnej masy.

Wiem, że to jest tylko bajka. W tym świecie jest przetrwanie — przetrwanie od zwykłych zwierząt. Jej życie w naszym świecie stanowi świadomość, że popędzony bluznienstwo. Piękna kobieta ma powodzenie także i dlatego, że w obcowaniu z nią silnie bluznienstwo wzrasta.

Z tego charakteru aktu płciowego wywodzi się niechęć, zdrada. Ze ściśle fizjologicznego punktu widzenia nowy obiekt miłości nie różni się od dotychczasowego. Ale na tym polega cała różnica, że nowy obiekt z góry wydaje się „słodszym”, ponieważ w obcowaniu z nim wykroczył przeciw prawu, a przeto podlega jeszcze bardziej bluznienstwu. Nieznaną dziewczynę — nieznajdź w dziewczynę, a najwyższą satysfakcją sprawiła ci wiadomość, że jest „dotknięta” i „dotknięta”. „Taka jest cięta, taka ładna, a ja z tobą będę ro-

Dopiero wtedy, gdy zapadniesz na jakąś chorobę weneryczną, zaczynasz rozumieć, że wszyscy ludzie są czyści.

W stosunkach seksualnych jest coś patologicznego. Przyciągające odpychanie i odstręczający pociąg. To wcale nie „kawałek chleba”, który chciałbyś zjeść. Tu owa chęć wynika z zakazu, a im mocniejszy zakaz, tym większa chęć.

Anatomia jest elementarna. Ale — cóż to za mrok, co za błyskanie w tym mroku?! Kobieta, którą zazwyczaj traktujemy jako zjawisko powszednie, natychmiast nabiera cech pozaświatowych. Jakaś „Ludoczka” czy „Sofja Nikołajewna” staje się kapłanką, poddaną władzy ciemnych sił. W akcie płciowym zawsze jest coś z czarnej mszy.

Sama rozkosz doświadczana w tym akcie jest przeobrażenie intensywniejsze od zwykłych uciech cielesnych. Jej źródło w znacznym stopniu stanowi świadomość, że popełniamy bluźnierstwo. Piękne kobiety mają powodzenie także i dlatego, że w obcowaniu z nimi nasilenie bluźnierstwa wzrasta.

Z tegoż charakteru aktu płciowego wywodzi się niestałość, zdrada. Ze ściśle fizjologicznego punktu widzenia nowy obiekt miłości niewiele różni się od dawnego. Ale na tym polega cała sztuczka, że nowy obiekt z góry wydaje się „słodzy”, ponieważ w obcowaniu z nim wykraczasz przeciw prawu, a przeto postępujesz jeszcze bardziej bluźnierczo. Nieznaną donnę Annę zamieniasz w dziwkę, a najwyższą satysfakcję sprawia ci właśnie to, że jest „donną” i „nieznaną”: „Taka jesteś czysta, taka ładna, a ja z tobą będę ro-

bił to i to!" I ponownie przeżywasz z nią świadomość upadku, utraconą w stosunkach z „dawnym obiektem” na skutek przyzwyczajenia. To ono uprawomocniło bluźnierczy akt, który przestał być przez to pociągający. Historia don Juana — to wieczne poszukiwanie Tej, jeszcze nie tkniętej, z którą dokonanie niedozwolonego czynu daje osobliwą przyjemność. W stosunkach z kobietą ważniejsza jest chwila, gdy zdejmujesz z niej majtki, niż gdy się zaspakaja przyrodzoną potrzebę. Im ta kobieta wyżej stoi, im bardziej jest niedostępna, tym większe budzi zainteresowanie.

Z takich samych pobudek, mąż i żona, opierając się na prawie moralnym, uprawiają rozwiązłość w legalnym małżeństwie, ze znacznie większym wyrafinowaniem, niż jacyś przypadkowi rozpustnicy. Obce sobie osoby zawstydzają w dostatecznym stopniu fakt, że są sobie obce. Kochający małżonkowie nie mają czego wstydić się, nie uprawiają nierządu. Mają jedyną możliwość: naruszać prawo w jego własnych granicach i wypełniać życie małżeńskie takim bezwstydem, żeby stwarzał przynajmniej pozory grzesznego upadku.

W cukierniach kobiety jedzą ciastka, nie odchodząc od lady. Mężczyźni z jakichś powodów tego nie robią. A te — wpadną do sklepu, jakby to była garderoba, i opychają się na miejscu, w tłoku, na oczach u wszystkich! Łakomczuchy! Od najmłodszej do najstarszej. Nieprzyjemnie patrzeć jak jedzą, coś bezwstydnego odgadujesz w ich pozach i gestach, w sposobie kęśania, żarłocznym jak miłosne pocałunki. Nadelektuje się, wytrze usta i pójdzie dalej, swoją drogą...

Uległość kobiet przygnębienia. Jest w tym coś z naszej wspólnej ludzkiej niepełnowartości.

Kobiety są większymi grzesznicami, a jednak są od nas lepsze. Dziwne wrażenie. Ale bezwzględnie tak jest: lepsze i grzeszniejsze. Ładacznicą staje się cnotliwą, obłudnicą — szczerą, zbrodniarką — uczciwą, prawie nie zmieniając swojej kobiecej natury. Tego rodzaju przemiany są u kobiet równie naturalne, co przejście na drugą stronę ulicy. Zatrzymała się, przeszła przez ulicę i poszła sobie dalej, zupełnie inna a jednak taka sama.

Nie wiadomo czemu, błoto i śmiecie koncentrują się dokoła człowieka. W przyrodzie tego nie ma. Zwierzęta nie paskudzą, chyba że w chlewie, albo w klatce, to znaczy, w warunkach stworzonych właśnie przez człowieka. A jeżeli nawet paskudzą, to nie w taki wstrętny sposób, i sama przyroda, bez ich wysiłku, sprząta wszystko w bardzo niedługim czasie. Natomiast człowiek przez całe swoje życie, od rana do wieczora, musi po sobie sprzątać. Niekiedy zajęcie to uprzykrza się tak dalece, że zaczynasz myśleć: umrzeć by jak najprędzej, byle by więcej nie paskudzić i nie brudzić się. Ostatni śmieć — to martwe ciało, które wymaga, aby je zabrano jak najszybciej. Ostatnia kupa gnoju.

Wyobraźmy sobie w roli sprzątaczk, która zamiata po innych i nie może przestać, bo zaraz nagromadzą się kupy śmieci. Sprzątaczką pojmuję i określa ludzi według ich sposobu śmiecenia: tamten nie wyciera butów, a ta pozostawia po sobie lekkomyślne kobiece odpadki — szpilki, flakonik po perfumach, kawałki zużytej waty, śmierdzące wodą kolońską, porzucane po całym pokoju. Bo rzecz dzieje się w hotelu.

Zabójczo fatalne jest umiejscowienie narządów płciowych — tuż obok narządów wydzielczych. Jak gdyby sama natura wykrzywiła się z odrazą sarkastycznym grymasem. To, co znajduje się w pobliżu uryny i kału, nie może być czyste ani uduchowione. Nieprzyjemne pod względem fizycznym, cuchnące otoczenie świadczy, iż na naszych wstydlivych organach legło piętno hańby. Bezwstyd spółkowania, niezależnie od zażenowania i lęku, ma przewyciężyć mdłości, sprowokowane przez świadomość brudu. Wspólna przyjemność przypomina ucztę w kloace i pobudza do ucieczki od zapaskudzonego źródła.

I oto proszę sobie wyobrazić szarą, pokorną dziewczuchę, która ciężko pracuje i czeka cierpliwie na kogoś, kto by się z nią przynajmniej zabawił przy jakiejś okazji. A ta okazja wciąż nie przychodzi. Zdarzyło się, że jakiś chłopak przycisnął ją w ciemnym kącie klubu, ale był pijany, roztargniony, zapomniał o co chodzi i zasnął, zanim doszedł do celu, a nazajutrz w ogóle nie pamiętał. Później jakiś chłop, zdaje się kulawy, z drewnianą protezą zamiast nogi, udawał, że chce się z nią ożenić, więc znowu zgodziła się, ale bodaj-że traktor go zatłukł, albo wyjechał i już nie powrócił. Życie dziewczuchy przemija w jednostajnej pracy, w pokornym zdziwieniu, dlaczego w nikim nie wzbudziła chęci, w uśmiechach świadomych winy, że nikt się na nią nie skusił. Powstaje pytanie: czyż nie lepiej byłoby, gdyby zgrzeszyła, zamiast upie-

rać się przy tej nędznej, niefortunnej dziewiczości?

W naszym powszednim życiu grzeszny upadek rzadko występuje w metafizycznym obnażeniu. Tyle tu jest domieszek, okoliczności, motywów, że wszystko wypada o wiele żałośniej i smutniej. Zdarza się, że człowiek nie ma gdzie podziać się, więc pcha się do baby, która przecież także chce się jakoś urządzić. Dłgie, nędzne życie, i nie ma niczego w zasięgu rąk, prócz wstydliwych narządów, pętających się jak dziecinna grzechotka, więc dlaczego znudzony człowiek nie miałby się nimi nieco pobawić? Albo żeby kobieta zabawiła się z nieznanym mężczyzną — toż zupełnie to samo, co pójść do kina na nowy film. Nawet nie zawsze występuje pociąg do zabronionego owocu, do innej płci, do ryzykownej przyjemności — po prostu chodzi o wyskok, rozczulenie nad samym sobą, chęć rozrywki, odejścia, zmiany środowiska, a nawet o miłość bliźniego, bo na okazanie mu uczucia nie mamy niekiedy innego sposobu. I nie jest tak, żeby ta cała pospolitość ludzkiego życia usuwała grzech, albo go usprawiedliwiała; po prostu w zetknięciu się z nią, wzięty osobno, jako taki, w swej elementarnej ohydzie, grzech przeraża znacznie mniej i wydaje się, że sprawia swoistą ulgę. W nim wszystko: zbrodnia, kres, pustka, piekło, śmierć, a więc maksymalne, ostateczne pojęcia, podczas gdy w życiu, w powszednim bycie — żałosna wegetacja, a w porównaniu z nią nawet śmierć jest lepsza.

Człowiek staje się osobą naprawdę bliską i cennie-
ną, gdy traci swoje cechy oficjalne — zawód, imię,
wiek. Gdy nawet przestaje być człowiekiem, a staje się
tylko pierwszym lepszym, spotkanym na drodze.

Ubezpieczyliśmy się z chwilą, gdyśmy zrozumieli,
że jesteśmy skazani.

Należałoby umierać tak, aby móc krzyknąć (lub szepnąć) przed śmiercią:

— Hurra! — odpływamy!

Dobrze jest, gdy się wyjeżdża (lub umiera) pozostawić po sobie uprzątnięte miejsce.

Panie Boże, zabij mnie!

Ponieważ brakuje nam odpowiedniego gestu, ponieważ nie mamy słowa, ponieważ nie potrafimy zdobyć się na coś lepszego i ważniejszego, ograniczamy się do kobiet i czynimy im różne nieprzyzwoite propozycje, żeby coś uczynić i coś powiedzieć.

Gdy już wszystko tajemnicze stanie się jawne —
rozumiecie? — wszystko! — dopiero wtedy zostanie-
my wystrychnięci na dudków.

Jeśli sądzona nam zguba od jakiejś radiacji, będzie to całkowicie logiczne. Myśl rozwija się aż do takiego stopnia, że zabija samą siebie. Ale cóż zawiniły psy i żaby — to wszystko, co nie chciało rozwijać się?

A jednak u rosyjskiego człowieka najważniejsze — świadomość, że nie ma nic do stracenia. Stąd bezinteresowność rosyjskiej inteligencji (z wyjątkiem książek na półce). I prawa szczerłość ludu: po pijanemu, za Rosję, z obnażoną piersią! — strzelajcie, gadziny! To nie gościnność — to rozpacz. Gotowość podzielenia się ostatnim kawałkiem, bo ostatni i nie ma niczego więcej, na ostatniej rubieży, na krańcu. Lekkość w myśleniu, w poglądach. Mętny rozgardiasz. Niczego nie uzbierali, niczego nie nauczyli się. Kto ośmielił się wydawać osąd? Wszyscy — już osądzeni.

Pijaństwo — to nasza zasadnicza narodowa przywara, więcęj — nasza *idée-fixe*. Lud rosyjski pije nie z nędzy czy nieszczęścia, lecz z odwiecznej potrzeby czegoś cudownego i nadzwyczajnego, pije, jeśli wolno tak powiedzieć, w sposób mistyczny, dążąc do wyprowadzenia ducha z ziemskiej równowagi i przywrócenia go stanowi bezcielesnej błogości. Bawidamek, rozkochany poskakiewicz przyjmuje rysy cudzoziemca, Niemca (diabeł u Gogola), Francuza, Żyda. A my, Rosjanie, za butelkę wyborowej oddamy najpiękniejszą kobietę (Stieńka Razin).

Łącznie ze skłonnością do kradzieży (brak mocnego przekonania do konkretnych, realnych powiązań), pijaństwo daje nam łobuzerską bezczelność i stawia wpośród innych narodów na cenzurowanym, w pozycji lumpa. Wystarczyło, aby „odwieczne zasady” runęły i społeczne hierarchie zostały zastąpione bezkształtną równością, a natychmiast chuligańska natura rosyjskiego człowieka wyrwała się na powierzchnię. Wszyscy jesteśmy teraz chuliganami (któż z nas nie odczuwa czegoś oszukańczego we własnej duchowości i losach?). To nam daje niewątpliwą przewagę w porównaniu z Zachodem, ale zarazem nakłada na życie i dążenia narodu piętno niestałości, lekkomyślnej nieodpowiedzialności. Umiemy wyprowadzić Europę w pole, albo rąbnąć w nią interesującą herezję, ale absolutnie nie jesteśmy zdolni do stworzenia kultury. Jak po każdym złodzieju i opoju, można po nas spodziewać się wszystkiego. Nie

trudno nami pomiatać, rządzić przy pomocy środków administracyjnych (pijany jest bierny, nie panuje nad sobą, wlecze się tam, gdzie go ciągną). A jednocześnie — jak trudno dać sobie radę z tym chwiejnym narodem, ile kłopotu sprawia naszym administratorom!

...wieloletniej, w granicy jej... To nawet
...wieloletniej, w granicy jej... To nawet
...wieloletniej, w granicy jej... To nawet

To bardzo przyjemne, gdy przygodny przecho-
dzień mówi „proszę uprzejmie”, albo „dziękuję”. I
mówi to z taką serdeczną szczerością, jak gdyby na-
prawdę chciał ci nieba przychylić. Cały świat trzyma
się kupy właśnie dzięki tej serdeczności, a już najbar-
dziej — rosyjski świat. Ot, byle co — „braciszku”,
„ojczulku”, „bądźcie łaskawi”... Nie chodzi o samą
grzeczność, lecz o swoistą familiarną intonację.

...wieloletniej, w granicy jej... To nawet
...wieloletniej, w granicy jej... To nawet
...wieloletniej, w granicy jej... To nawet

Podważajmy teraz to rzekome horyzonty z daw-
nym typem życia włościańskiego, który nigdy nie wyje-
dzał dalej niż na siłkowską, i aż do śmierci chadzał
w patrystycznych łapach własnej roboty. Wzrost
tego chłopca wydaje się nam wąski, a przecież w rzeczy-
wistości chodzi o wielki format, choć w postaci za-

Dawniej człowiek był, w swoim domowym bycie, o ile wiele szerzej i mocniej niż obecnie związany z uniwersalnym życiem — historycznym i kosmicznym. Choć posiadamy gazety, muzea, radio, komunikację powietrzną, zaledwie przyjmujemy do wiadomości to wszechświatowe tło, nie bardzo nim przejmujemy się, prawie o nim nie myślimy. W czeskich butach, z meksykańskim papieroskiem w zębach, przeczytał korespondencję o zjawieniu się w Afryce nowego państwa i poszedł na rosół ugotowany na francuskiej wołowinie. To całe zewnętrzne, złudne stykanie się ze światem nosi cechy przypadkowej, pozbawionej związku informacji: „W ogródeczku czarny bez, a w Kijowie wujek...” O tym, że wujek mieszka w Kijowie, dowiadujemy się codziennie i powielekroć, i nie przydajemy tym faktom osobliwego znaczenia. Nasza wiedza, ilość naszych wiadomości jest ogromna, jesteśmy nimi przeładowani, nie zmieniając się pod względem jakościowym. Cały nasz świat można objechać w ciągu niewielu dni — wsiąść w samolot i objechać, niczego nie uzyskawszy dla ducha, a tylko powiększając ilość otrzymanych informacji.

Porównajmy teraz te rzekome horyzonty z dawnym trybem życia włościanina, który nigdy nie wyjeżdżał dalej niż na sianokosy, i aż do śmierci chadzał w patriarchalnych łapciach własnej roboty. Widnokrąg tego chłopca wydaje się nam wąski, a przecież w rzeczywistości chodzi o wielki rozmiar, choć w postaci za-

gęszczanej, wciśniętej w granice jednej wsi. Toż nawet jednostajny rytuał obiadu (w zestawieniu z francuskim bulionem i rumem z Jamajki) był wciągnięty w krąg pojęć o powszechnym sensie. Człowiek przestrzegał postów i świąt, żył zgodnie z powszechnym, historycznym kalendarzem, który zaczynał się od Adama i kończył się Sądem Ostatecznym. Mówiąc nawiasem, to właśnie dlatego jakiś pół-ciemny sekciarz mógł niekiedy filozofować wcale nie gorzej od Tolstoja i osiągać poziom Plotyna, nie mając przy tym na podporządku żadnych materiałów, oprócz Biblii. Chłop utrzymywał nieustanny związek z ogromem wszechświata i umierał w jego głębiach, tuż obok Abrahama. A my, po przeczytaniu gazetki, umieramy samotnie, na wąskiej, nikomu nieprzydatnej otomanie. I żadna informacja już nam wtedy nie jest potrzebna. Jest dla nas jak spodnie z zagranicznego materiału. Zadajemy szyku tymi spodniami i tylko tyle. Gdzież się podziewają te wszystkie horyzonty, to całe nasze uświadomienie, gdy zdejmujemy spodnie, albo je z nas zdejmują? Albo — gdy podnosimy łyżkę do ust? Chłop — zdarzało się — przeżegna się, zanim weźmie łyżkę, i tym jednym gestem, jak reflektorem, łączy się z ziemią i niebem, z przeszłością i przyszłością.

To, że wiara w Boga znacznie zmniejszyła się, zawdzięczamy miejskim wygodom i technicznemu postępowi. W otoczeniu stworzonych przez nas rzeczy poczuliśmy się stwórcami wszechświata. Czyż jestem w stanie dojrzeć Pana Boga w świecie, w którym na każdym kroku natrafiam na człowieka? Głos Boży rozlegał się na pustyni, w ciszy, a właśnie ciszy i pustyni nam brakuje. Wszystko zagłuszyliśmy, wszystko wypełniliśmy sobą, a potem jeszcze dziwimy się, że Pan nie chce się nam ukazać.

Każda osobowość budzi wstręt, jeżeli jest zbyt bogata. Osobowość — to zawsze kapitał, chociażby składał się z samych cnót, zalet umysłu i talentu. „Rozdajcie swój majątek...” Chrystus ukochał tych, co byli „niczym”. A i On sam czyż nie był „Niczym”? Jako osobowość jest raczej mało wyrazisty (i dlatego niewyraźny), a w każdym razie zupełnie pozbawiony oryginalności. „Osobowość Jezusa Chrystusa” — to brzmi bluźnierczo. To osobowość w sensie odwrotnym, ze znakiem minus. Chrystusa nie można nazwać „geniuszem”. Geniusz jest przepelniony samym sobą, geniusz to kapitalista. Wampiryzm geniusza, uwielbienie geniusza, zapoczątkowane w Renesansie, i bezinteresowność świętości, zawsze jaśniejącej nie swoim światłem, lecz Twoim, o Panie !

Dość już rozwodzić się o człowieku. Czas pomyśleć o Bogu.

Teozofowie lękają się słowa „diabeł” i słowa „Bóg”. Wciąż obawiają się, że ściągną na siebie podejrzenie ignorancji i chcą rozprawić naukowo. Tego rodzaju przezorność nie budzi zaufania.

Dlaczego Chrystus nigdy się nie uśmiechał? Czy nie dlatego, że śmiech jest rzeczą niewłaściwą w więzieniu, w którym siedzą skazani na śmierć?

Nie wykluczone, że piekło znajduje się właśnie na ziemi. W takim razie wszystko staje się zrozumiałe. A jeżeli nie? Boże, to jakże wtedy...?

Grzesznicy, rozmieszczeni w piekle według rodzajów i grup, prawdopodobnie także czują zazdrość do siebie nawzajem i wywyższają się jeden nad drugiego. Ten, kogo przysmażają na rożnie, wyśmiewa tych, których wieszają do góry nogami. Narastają krzywdy, dojrzewają konflikty: każdemu wydaje się, że jest mu gorzej niż innym. A także wyniosłość niektórych cierpiętników (na przykład, pederastów), tworzących osobną kastę, poddawaną najbardziej wyrafinowanym torturom. A także pojawiają się najrozmaitsze mody, gdy wszyscy zaczynają marzyć, żeby dostać się do komory gazowej, zarezerwowanej dla morderców dzieci, więc po niewczasie przypisują sobie niepopelnione zbrodnie: wszyscy pragnęliby zabić dzieciątko, ale skąd je wziąć w nieprzejrzanej ciemności. Wieczysta walka o pierwszeństwo w czeluściach piekielnych i kłótnie na temat wolności, równości i braterstwa.

W żaden sposób nie mogę zrozumieć, co to jest „wolność wyboru”, o której tyle rozprawia filozofia liberalna. Czyż wybieramy kogo mamy kochać, w co wierzyć, na jakie zapadać choroby? Miłość (jak i każde inne silne uczucie) — to monarchia, despotyzm, działający z zewnątrz i biorący do niewoli, bezwzględnie, bez żadnej reszty. O jakiej tam wolności możemy myśleć, jeżeli jesteśmy całkowicie pochłonięci, niczego nie pamiętamy, niczego nie widzimy, oprócz Obiektu, który nas wybrał, a, raz wybrawszy, albo poddaje udręce, albo obdarza swoją łaską? Gdy tylko zapagniemy wyzwolić się (spod władzy grzechu czy spod władzy Boga — to wszystko jedno), już nad nami zapanowała nowa siła, naszeptująca o oswobodzeniu dokładnie do chwili, gdyśmy się jej całkowicie poddali. Wolność to zawsze pojęcie negatywne: zakłada nieobecność, pustkę, pożądającą jak najszybszego wypełnienia. Wolność — to głód, tęsknota za władzą, a jeśli obecnie tyle jest na jej temat gadani-ny, znaczy to, że znajdujemy się w okresie bezkrólestwa. Zjawi się Car i położy kres całemu temu duchowemu parlamentaryzmowi, któremu na imię „wolność wyboru”.

Wyobraźcie sobie geniusza na tamym świecie.
Biega z kąta w kąt — po piekło — i wszystkim udo-
wadnia: Przecież jestem utalentowany!

A jednak najbardziej ze wszystkich rzeczy na świecie lubię śnieg.

Niekiedy (bardzo rzadko) umarli zjawiają się we śnie w zupełnie inny sposób, niż zwykli ludzie. Umarli mówią i wyglądają, jak gdyby byli żywymi, ale to nie jest sen o minionym życiu wraz z nami, lecz sen o obecnym spotkaniu z tymi, którzy ożyli i przyszli, by się z nami zobaczyć. Być może, tylko dlatego zjawili się w dawnej postaci, abyśmy łatwiej ich rozpoznali i zrozumieli.

Na ich widok odczuwamy radosne zdziwienie i zachłystujemy się łzami szczęścia, zdając sobie sprawę, że ich śmierć jest nieprawdziwa i że żyją w dalszym ciągu. Bynajmniej nie zapominamy, że mamy do czynienia z umarłymi, ale ich zjawienie się staje się w pewnym sensie pogwałceniem śmierci. Niezmiernie wzruszamy się i cieszymy („nie umarł, nie umarła”), i jedynie pragniemy pozostać razem z nimi i nigdy nie rozstawać się, coś tam przyrzekamy, prosimy, coś uzgadniamy, czy też próbujemy uzgodnić. Zaś oni — także szczęśliwi w owej chwili — są, nie wiadomo czemu, spokojni, wcale nie przejmują się i tylko starają się łagodnie nas uspokoić, jak gdyby wiedzieli więcej od nas, jak gdyby byli silniejsi i bardziej cierpliwi. Więc uśmiechają się i przytakują naszym gorącym słowom.

Ale spotkanie dobiegło końca, odchodzą niepostrzeżenie, nie życząc sobie zasmucać nas odprowadzaniem i pożegnaniem, zostawiając pogrążonych w jakimś wyjątkowo głębokim i błogim, dzieciennym śnie.

A gdy budzimy się, w sercu mamy ciszę i spokój, i to widzenie senne — w przeciwieństwie do innych, pospolitych snów — utrwała się, zakotwicza się w pamięci na stałe. Pozostaje po nim wspomnienie, jak po rzeczywistym spotkaniu. Jak gdyby wieczność chciała wykazać wobec nas przychylnie nastawienie i puściła swoich domowników na krótki urlop. Wszystko, wszystko tak jak było, łącznie ze starym, wyświechtanym paletkiem! Żebyśmy nie nudzili się, żebyśmy nie zapominali, żeby wlać w nas nadzieję, że to nie ostatni raz.

Nie ulega wątpliwości, że coś nam podczas snu zasugerowali. Toteż po przebudzeniu, nie dręczymy się, nie męczymy, nie wrywamy się nadaremnie za zjawiskiem, które odleciało. Tylko jedno napawa smutkiem: nie pamiętamy dokładnie co uzgodniliśmy w rozmowie z umarłymi, jak umówiliśmy się, i czy w ogóle byliśmy w stanie rozmówić się z nimi o wszystkim.

Śmierć oddziela duszę od ciała w taki sam sposób, jak rzeźnik oddziela mięso od kości. To również bolesne. Ale właśnie tak i tylko tak następuje wyzwolenie.

A gdy znalazł się w domu swojej żony i rodziny, i do widzenia siebie — w przeciwieństwie do innych, nie-
podobał sobie — uśmiechała się, zakłócała się w
miejscu na stole. Powstała po nim, wspaniałym, jak
niezwykłym sposobem. Jak gdyby wspaniałym, chociaż
wyłochał siebie, nie przychylnie nastawienie i pewna
pewność, dawała mu na krótki urlop. Wzruszenie, zastę-
piło tak jak było, leżąc w tym, wywołującym
pamięć! Zawsze nie znalazł się, leżąc w
podobnie, żeby wiedzieć w nową nadzieję, że to nie było
nie.

Na dzień, wspaniałym, że coś nam podobało się
zapewniał. Totalnie wyrażającym, nie dziwnym się.

Ilekróć zasypiałem, zawsze żywiłem nadzieję, że
we śnie moje ciało nabierze zdrowia i siły. Po spraw-
dzeniu, że wciąż niedomaga, zasypiałem aż do następ-
nego przebudzenia. To było tak, jak gdybym, usypia-
jąc, odchodził, umyślnie, z premedytacją, żeby dać
memu ciału czas, żeby przyszło do siebie i opamiętało
się. Wyglądało na to, że mam z nim jakieś nieporozu-
mienia i kłótnie, więc odchodziłem i znowu powraca-
łem, piniącząc się, i zostawiałem ciało w samotności,
licząc, że beze mnie lepiej potrafi wypełnić warunki
umowy, i że po powrocie zastanę dobrą predyspozycję
do ugodzenia się. Ale moje ciało było uparte, ciągle
cierpiało i kwękało, więc miałem chęć machnąć ręką i
nigdy więcej do niego nie powracać. Niechże sobie
robi beze mnie, co mu się żywnie podoba.

Cóż to jest ciało? Zewnętrzna powłoka, skafander.
Ale ja, siedząc w tym skafandrze, być może, cały skręcam się w męce.

Pan Bóg woli mnie od innych.

A jeżeli nawet lektura książek jest czymś w rodzaju kradzieży, to jakże nie zdobyć się na odrobinę romantycznego nastroju...?

Panie Boże, Ty widzisz: jestem pijany...
I nagle jakże wielką czułość wywołuje w nas ka-
wałek mydła!

Całe moje życie to mieszanina tchórzostwa i błagalnych modłów.

Zdołałem wiele zdziałać, wyczekując kresu mego życia. Och, jakże powoli zbliża się śmierć!

Śmierć właśnie dlatego jest piękna, że ustawia każdego z nas na właściwym miejscu.

Należy wierzyć nie ze względu na tradycję, nie z bojaźni śmierci, nie na wszelki wypadek, nie dlatego, że ktoś nas zmusza i straszy, nie ze względu na humanistyczne zasady, nie po to, aby z b a w i ć duszę, ani żeby być oryginalnym. Wierzyć należy z tej prostej racji, że Bóg istnieje.

Otoczająca nas przyroda — las, góry, niebo — to najbardziej dostępny, dostrzegalny kształt wieczności, jej materialna imitacja, podobieństwo, wcielenie. Już sama rozległość przyrody w czasie i przestrzeni, jej trwanie, jej ogrom w porównaniu z naszym ciałem, podsuwa myśli o wiekuistym i budzi w człowieku nieufność wobec jego ograniczonego istnienia. Ot, choćby połączenie w pierwszym lepszym drzewie starości i młodości, złożoności i prostoty, ruchu i spokoju, mądrości i naiwności! A ta nieustająca zmiana pór roku, nocy i dni, które, powtarzając się, za każdym razem przynoszą coś nowego! I ta obojętność przyrody w stosunku do zła i dobra, obojętność wypływająca z pewności, że w ostatecznym rozrachunku wszystko zamienia się w dobro. Ta wszystko ogarniająca pełnia bytu, zapowiadająca z góry wieczność, pozwala nam, skoro nie mamy innego wyjścia, szukać schronienia u przyrody, podobnie jak dawniej szukano go w klasztorach.

Gdy płyniemy parostatkiem i dokoła jedynie morze, zaczynamy pojmować, że niezależnie od tego, dokąd idziemy czy jedziemy, zawsze w stosunku do nieba znajdujemy się na tym samym miejscu.

Nie wiadomo dlaczego zakłada się, że to, co zostało zadziergnięte tutaj — gdzieś tam (w przyszłym życiu, czyli w wieczności) musi rozplątać się i rozwiązać, że otrzymamy rekompensatę za nasze cierpienia i wysiłki, grzechy i cnoty. A tymczasem bardzo być może, że nie nam powinni zapłacić, lecz my sami stanowimy zapłatę lub odwet komuś tam, za jakieś czyny. Spoglądając z naszego kącika na wszechświat, uważamy samych siebie za początek wszystkiego i w myśli szukamy godnego zakończenia. Ale we wszechświatowym bilansie jesteśmy nie punktem wyjścia, lecz linią krzywą, przeprowadzoną między nieznanymi nam liczbami, więc nie jest rzeczą właściwą żądać sprawiedliwości w stosunku do siebie samego.

Spuszczamy nasze łajno do wyszorowanych sede-
sów i sądzymy, że dostąpiliśmy zbawienia.

Dlaczego, gdy oglądamy się i widzimy na świeżym śniegu nasze własne ślady, ogarnia nas przerażenie...?

Rozmawiają dwie starszki:

— ...Przecież emerytura ci wystarcza, prawda? Na ubranie nie wydajesz. Wszystko idzie na jedzenie.

— Tak, wystarcza... Prawda, mam jeszcze kotkę na utrzymaniu.

— Masz męża?

— Mam męża na noc, a tak w ogóle — nie mam.

Podróżny szedł przez las. Naprzeciwno — trzech w łapciach. Podeszedł do nich i powiada:

— Braciszkanie, boję się was. Was — trzech, a ja sam jeden.

— No, to — powiadają tamci — siądziemy na trawce, żebyś się nas więcej nie bał. A ty stań sobie opodal, na jakieś dziesięć kroków, i porozmawiamy.

Usiedli i pytają:

— Masz trochę chleba? Od trzech dni nic nie jedliśmy.

Podróżny oddał im wszystek posiadany chleb i poszedł. Potem schwymano ich i rozstrzelano w mieście.

Odwrócić się, żeby nie widzieć. Cieszyć się, że jest jeszcze skóra, kości — jest obrona. Uczynić z ciała osłonę, poruszającą się barykadę i schować się za nią. Gdyby istniała tylko sama dusza, czyż bylibyśmy w stanie wytrzymać? Dusza nie ma gdzie odwrócić się, ani czym przykryć się. Nawet nie może zamknąć powiek. Zawsze na widoku. A nam wygoda, u nas wszystko jest przystosowane. Możemy zatkać uszy, zamknąć się w sobie, a jeśli już jest bardzo źle — można odwrócić się twarzą do ściany i osłonić się od tyłu pewnymi, nieprzeniknionymi plecami.

Starucha wróciła z łaźni, rozebrała się i odpoczywała. Syn chciał jej obciąć paznokcie na palcach od nóg, potworne, zrogowaciałe pazury.

— Jakże to, Kostuś! Co ty?! Czas mi szykować się na śmierć. Jakże ja — bez paznokci — w górę do Pana Boga polezę? A włązić mi przyjdzie wysoko...

Wątpliwe, żeby staruszka zapomniała, że jej ciało zgnije. Ale jej pojęcia o Królestwie Niebieskim są tak realistyczne, że aż niemal dotykalne. Więc swoją nieśmiertelną duszę pojmuje realistycznie — z paznokciami, w nocnej koszuli, pod postacią bosej staruchy. Właśnie naszym filozoficzno-teologicznym koncepcjom brakuje tego rodzaju pewności. Wszystko ujmuje się tak spirytualistycznie, że już nie wiadomo: czy Bóg w ogóle istnieje, czy też jest jedynie symbolem naszych humanitarnych skłonności. Dzikus, który wyobraża sobie Boga w postaci krwiożerczej bestii, popełnia mniejsze bluźnierstwo, niż idealistyczny filozof, zastępujący Boga gnoseologiczną alegorią. Chrystus zmartwychwstał w dosłownym znaczeniu, dotykalnie, cieleśnie, i objawił się naocznie wbrew faryzeuszowskiemu abstrakcjom. Pił i jadł z nami przy wspólnym stole i powoływał się na cuda, które mu służyły jako dowody rzeczowe.

Panie, daj znać o Sobie. Zaświadczy, że mnie słyszysz. Nie proszę o żaden cud — niechby był jakikolwiek, ledwie dostrzegalny znak. Niech na przykład z tego krzaka wyleci chrząszcz. Niech wyleci zaraz, natychmiast. Chrząszcz — to przecież całkiem naturalne zjawisko. Nikt nie wpadnie na podejrzenie. A mnie to wystarczy, ja już sam domyślę się, że mnie słyszysz i dajesz to do zrozumienia. Powiedz tylko: tak albo nie? Mam rację czy nie mam? Jeżeli mam rację, niech lokomotywa zagwizdże za lasem cztery razy. To przecież nic trudnego — zagwizdać cztery razy. A ja już będę wiedział.

Przyroda pięknieje pod wpływem Bożego spojrzenia. Milcząc, Bóg spogląda z daleka na gęstwinę drzew — i to wystarcza.

Prawa przyrody — to jeden wielki cud, powtarzający się w czasie i przestrzeni. Dzięki tym prawom gwiazdki śniegu, mamuty, zachody słońca i inne arcydzieła stworzenia posiadają możliwość krótszego lub dłuższego istnienia, periodycznego pojawienia się i rozwoju, zgodnie z określoną tradycją (tradycja zachowania energii, tradycja przyciągania ziemi i tak dalej). Złamać taką tradycję może jedynie nowy cud, jednorazowy, albo także długotrwały, ustabilizowany, jak prawny przepis, w jakimś innym wszechświecie, epoce czy okresie.

Boska kosmogonia stała się dziś tematem humorystycznym (Pan Bóg wycina papierowe kwiaty). Ale co, jeżeli i taki temat wziąć na serio? Każdy kwiatek powoduje zdumienie, niemal mdlejesz z zachwytu: cóż za robota! Każdym ziarnkiem nasienia, najnędniejszym pyłkiem przyszłość zgłasza swoją obecność, zawartą w dwunastu płatkach.

Mając do czynienia z przyrodą, coraz to natrafiamy na sztukę. Architektura gór, wyprzedzająca gotyk. Kałuże i obłoki, układające się w kształt zgodny z gustami taszystów. Stworzenie człowieka — zasady obrazowości (według postaci Stworzyciela, a jednak „c o ś” zupełnie innego). Śpiewacy i muzycy, przemykający w trawach, ulatujący w powietrzu... Zmiany stylów w związku z natarciem lodowców i wybuchami wulkanów. Żywe muzeum, w którym wszystko odnawia się i przechowuje, i wszystko, jak w sztuce, jest w równym stopniu autentyczne i złudne.

Czysto chrześcijańskie uczucia są przeciwstawne naszej naturze, nienormalne, paradoksalne. Biją cię, a ty masz się cieszyć. Zwalające się na ciebie nieszczęścia mają cię uczynić szczęśliwym. Nie uciekasz od śmierci, wleczesz się na jej spotkanie i zawczasu stajesz się na podobieństwo umarłych. Każdemu zdrowemu, normalnemu człowiekowi postawa ta musi wydać się bzdurna. Przyroda uczy nas, że mamy lękać się śmierci, unikać cierpienia, płakać, gdy odczuwamy ból. A tu wszystko na odwrót — nienaturalne (jak powiadają humaniści), ponadnaturalne (tak mówią chrześcijanie). I w ogóle żadnej dalekowzroczonej rachuby (niech już będzie — tu pocierpię, a tam dostąpię szczęśliwości — kalkulacja lichwiarza). Przeciwstawne reakcje powstają mimowoli, bez świadomego zamiaru. Ale wystarczy, abyśmy „przebaczyli krzydzicielowi”, a serce raduje się, jak gdyby został rozcięty węzeł, którego żadne wysiłki nie rozwiążą. Ale jeżeli tę radość i lekkość serca uznamy nie za skutek lecz za przyczynę, to odpuszczenie winy i jakakolwiek odwrotna reakcja na wyrządzone cierpienie ujawnią się bez żadnych przeszkód, bez wysiłku i bez żadnych określonych celów. Nie przewyciężenie istoty naszej osobowości, lecz jej zastąpienie czymś zupełnie innym, nieznanym, co uczy cierpienia, męki i umierania, i uwalnia od obowiązującego strachu i nienawiści.

Człowiek żyje po to, aby umarł. Śmierć daje życiu określoną osnowę, kierunek, jedność i dokładność. Stanowi logiczny wniosek, do którego dochodzi się poprzez całożyciowe przesłanki; życie nie urywa się, to akord przygotowywany przez długi czas, poczynając od dnia urodzin. W zestawianiu z umarłymi (zwłaszcza, jeśli chodzi o postaci historyczne i literackich bohaterów), jesteśmy jacyś niewykończeni, niedorozwinięci. Mamy takie uczucie jak gdyby nasze serca i głowy zagubiły się we mgle niepewności. To dlatego tak bardzo brakuje nam sprawdzianów w ocenie nas samych, w rozumieniu naszej roli, losów i miejsca. Dopóki nie umarliśmy, zawsze czegoś nam nie do staje. Koniec wieńczy każde dzieło.

Nieświadomie zazdrościmy umarłym ich całkowitej jedności: już wykręcili się z pośredniej sytuacji, osiągnęli wyraźnie zarysowane charaktery, dożyli, ucieleśnili się bez reszty. Stąd ludzie tak bardzo interesują się swoim końcem, wróżą, przepowiadają, na oślep poszukują ostatniej kropki, wykańczającej kreski. Pociąga nas i kusi samobójstwo, obiecując zawarcie korzystnego interesu, gdyż wówczas możemy na podstawie osobistego wyboru i decyzji otrzymać brakującą sumę i podpisać płatniczy kwit. Ale lepiej jeszcze, zamiast podpisywać to sfałszowane pokwitowanie, przyjmując wyrok śmierci, co skazańcowi daje wyjątkowy przywilej asystowania przy jego wykonaniu i uświadomienia samego siebie w całej pełni. W jednej chwili ska-

zańcy wyrastają ponad swoją miarę, a jeżeli przy tym potrafią zachować przytomność umysłu, nie podobna sobie wyobrazić doskonalszego rozrachunku z życiem.

Idealne ujęcie ludzkiego losu daje tragedia, która przecież rozgrywa się na linii prowadzącej ku śmierci. W tragedii śmierć staje się celem i bodźcem akcji, a w miarę jej rozwoju jednostka ma czas wyrazić siebie bez reszty i w rozwiązaniu spełnić swe przeznaczenie. Towarzyszymy temu gwałtownemu, fatalnemu zbliżaniu się ku zgubie i cieszymy się, że bohater został wyróżniony wyborem, że ledwie przyszedł na świat, już jest zabezpieczony i zaasekurowany, że cały jego życiorys układa się jako przygotowanie finału. Śmierć tkwi w jego losie i charakterze jak ziarno, i gdy zaczyna ono kiełkować na naszych oczach, czujemy zachwyt na widok tej wierności przeznaczeniu, przetwarzającemu życiowe wysiłki na heroizm śmierci.

Sama idea tragedii przypomina egzekucję, ale rozciąga wyrok do rozmiaru naturalnego dojrzewania człowieka, tworzy pozory spontanicznej swobody w poruszaniu się po najkrótszej, z góry ustalonej drodze. Zagłada bohatera jest potwierdzona, wywalczona, zarobiona całym życiem, a z tej równowagi rodzi się poczucie harmonii. I odwrotnie, w życiu mieszczaucha śmierć jest prawie komiczna: szlag go trafił, albo udławił się kością. Cała nędza takiego losu polega na jego zewnętrznej przypadkowości (żył sobie i zmarło mu się ni stąd ni zowąd) — na braku narastającego związku między życiem i śmiercią. Ale najstraszniejsze, kiedy opatrność odwraca się od człowieka na znak kary, bo jej obrzydł, i pozwala mu szczeznąć w hańbiący, bezwstydnym sposób — według jego osobistego upodobania: zapił się do utraty świadomości i zachłysnął się własną rzygowiną; umarł w chwili spółkowania, i to jeszcze tak, że nieszczęsną kobietę z trudem uwolniono od wszczepionego w nią starca...

Prośmy, aby los dał nam honorową, godziwą śmierć, i abyśmy w miarę możliwości zdołali wyjść jej naprzeciw i we właściwy sposób spełnili nasze ostatnie i najważniejsze zadanie, sprawę całego życia — spotkanie ze śmiercią.

Rozmyślania o Bogu są wznioste i niewyczerpane, jak morze. Pokrywają nas z głową — topisz się cały i nie dosięgasz dna. W naszej świadomości Bóg to pojęcie tak niezmierne, że jest w stanie występować jako przeciwstawienie samemu sobie, nawet w granicach jedynej doktryny religijnej. Bóg jest niepoznawalny i rozpoznawany wszędzie, niedostępny i najbliższy, irracjonalny i krańcowo logiczny. Żadne inne pojęcie nie zna takiego rozpięcia interpretacji, nie daje tylu możliwości poznania i komentowania (przy jednoczesnej absolutnej pewności, że jest bezwzględnie ściśle). A to już świadczy o doniosłości stojącej za nim Osoby i Obiektu naszych wierzeń, naszych rozmyślań. Można wierzyć w Boga w najrozmaitszy sposób, można o nim rozmyślać bez końca: obejmuje wszystko i jest wszechobecny jako Najważniejsza Istota, nie mieszcząca się w niczym innym. To jedyne, olbrzymie zjawisko w świecie. Poza Nim nie istnieje nic.

Życie polega, być może, na pielęgnowaniu duszy, tak właśnie, tej nieśmiertelnej duszy, która z czasem cię zastąpi i odleci daleko stąd. Dokładniej, dusza nie rośnie, nie rozwija się, przebywa w tobie skrycie, aż dojrzejesz w dostatecznym stopniu, aby nawiązać z nią kontakt mniej lub bardziej intymny. Trzeba, żeby dusza ciebie zapamiętała, zaprzyjaźniła się z tobą i, raz poznawszy ciebie, zachowała część twojej osobowości. Na tym właśnie polega sens powiedzenia: „Czas pomyśleć o duszy”. To znaczy, czas zatroszczyć się, żeby powstały trwałe stosunki z duszą, aby zainteresowała się tobą.

To bardzo wątpliwe czy istnieją dusze paskudne (chyba że w człowieku zamieszka obca, nieludzka dusza). Łajdacy ostatniego rzędu są przekonani, że „w głębi duszy” są przyzwoitymi ludźmi. Zaś o człowieku zdecydowanie złym mówi się, że „nie ma w nim duszy”. W rzeczywistości dusza w nim najprawdopodobnie pozostaje, ale chowa się tak głęboko, że już nie ma z nim zupełnie do czynienia.

Zniszczyć duszy nie można, natomiast można duszę stracić i zniszczyć siebie. Dusza nie zależy od ciebie, ty od niej zależyś i znajdujesz się pod jej opieką, jeżeli zdążysz to zauważyć.

Urok samotności, ciszy, milczenia polega na tym, że w takiej chwili dusza zaczyna przemawiać.

Prawdę należy nie przyjmować rozumowo, lecz ogarniać. Zrozumieć, poznać — znaczy włamać się, zdobyć. Można poznać kobietę (gwałtem albo wysiłkiem). Ogarnąć (choćby tę samą kobietę) — znaczy wziąć w siebie, wchłonąć. Poznanie jest zawsze agresywne i zakłada pojęcie zaboru, podboju. Ogarnięcie zakłada służbę, ciężar, narzucony z góry. Stajemy się wówczas jeńcami.

Kościół musi być konserwatywny, jeżeli pragnie dochować wierności własnym tradycjom. Nie ma prawa mówić dziś tak a jutro inaczej — w zależności od wymagań postępu. Żadna reformacja religijna, choćby w najmniejszym stopniu poważna i sięgająca w głąb, nie starała się dotrzymywać kroku bieżącej chwili, lecz zawracała wstecz, do źródeł, do początków zakonu, nawet jeśli popełniała przy tym błędy interpretacyjne. Pragnąc zachować starodawne świętości, strzec testamentu, Kościół niezmiennie „pozostaje w tyle za życiem”, aby, znalazłszy się poza czasem, donieść do nas aromat i smak wieczności. Dzięki swym zastygłym formom, archaiczne obrzędy upodobniają się do niebios, które nie wykazują skłonności do rozwijania się w rytmie historii. Ta zasadnicza powolność reakcji na współczesność zagraża Kościołowi bezruchem i strupieszaniem. Ale nawet wtedy Kościół jest jak mumia, nie poddana rozkładowi i oczekująca godziny, w której będzie powiedziano: — Wstań i idź!

Byle by tylko usłyszał...

Chrześcijaństwo współczesne grzeszy nadmiarem dobrego wychowania. Myśli tylko o tym, żeby się nie pobrudzić, nie okazać braku subtelności. Lęka się błota, chamstwa, prostoty, przenosząc ponad wszystko w świecie dokładnie wymierzony złoty środek. Mazgaje, doprowadzili do tego, że olej święty zamienił się na słodką patokę (na sam dźwięk tego słowa „olej” zaczyna mdlić). Złożyli usteczka w ciup i czekają aż Pan Bóg postawi im kreskę za wzorowe sprawowanie. Jak prowincjonalna gęś rumienia się przy każdej aluzji do zakazanych uciech: „Ach, cóż znowu, ja nie należę do takich! Proszę sobie nie myśleć — jestem dziewicą”. Kościół Chrystusowy pomylił się im z pensją dla dobrze urodzonych panienek. W ostatecznym wyniku wszystko, co żywe i skrajne, dostało się pod władzę grzechu. Cnotliwości pozostało jedynie wzdychanie i zbieranie łez do kieszeni. Zapomniała jakimi płomieniami słowami przeklina Pismo Święte.

Otóż chrześcijaństwo powinno być odważne i nazywać rzeczy po imieniu. Czas już wyrzec się aniołeczków w wianuszkach, czas żeby Aniołowie stali się silniejsi i bardziej widoczni, niż samoloty. Mają stać się „samolotami” — nie żeby imitować współczesny styl, lecz żeby wywyżżyć się nad niego.

Na tej drodze można wpaść w herezję. Ale herezja nie jest dziś tak niebezpieczna, jak usychanie od samych korzeni. Panie Boże! Obym raczej pomylił się co do Twego imienia, niżbym o Tobie zapomniał. Lepiej ażebym zatracił własną duszę, niżbym Cię stracił z moich oczu.

Obok innych religii, chrześcijaństwo spełnia rolę szturmowego batalionu, rolę karnej kompanii, rzuconej na najbardziej ważny i niebezpieczny odcinek frontu. Być może, gdzieś tam działa artyleria, lotnictwo, ale do walki wręcz, w samo piekło ognia skierowano właśnie ten batalion skazańców, który spalił za sobą wszystkie mosty i prowadzi bezpośredni bój z czołgami przeciwnika. Stąd stanowczość ataku, gotowość walki aż do końca, a także trudny heroizm, wąskość, nietolerancja doktryny (w zestawieniu chociażby z Hindusami), a to znaczy skupienie i rzucenie wszystkich sił w jednym uderzeniu. Przyjrzyjcie się chrześcijańskim bohaterom. Mędrców tu niezbyt wielu, przeważnie asceci, którzy uzyskali sławę poprzez stanowczość i śmierć. Żywoty Świętych to wykaz tortur i egzekucyj, wycierpianych przez rycerstwo, które poszło za przykładem zamordowanego Boga. To żołnierze pokazujący światu swoje blizny i rany — znaki dzielności. A z kogo rekrutuje się to wojsko? Ze wszystkich narodów, z byle zbieraniny, nawet ze zbrodniarzy, którzy postawili na sobie krzyż. Każdy może zaciągnąć się. Każdy, najostatniejszy, nieuczony, grzeszny, byle tylko gotów był skoczyć do ognia. Każdy — w walce, każdy — w pojedynkę. Religia najwyższej nadziei, zrodzonej z rozpacy, religia czystości, utrwalonej na najbardziej ostrym poczuciu swego grzechu, religia zmartwychwstania ciała wpośród smrodu i rozkładu. Nigdzie nie ma tak bliskiego kontaktu ze śmiercią, jak w chrześcijaństwie. Strach przed śmiercią nie został tu wykorzystany, lecz rozwinięty z siłą, będącą w stanie

przebić otwór w grobowcu i wyrwać się na tamtą stronę. Nie kontemplacja wieczności, lecz jej zdobycie w bitwie, w boju, z jedyną bronią w rękach: gotowością na śmierć.

Zasypiając, przybieramy pozycję embrionu. Przyciskamy nogi do brzucha, skręcamy się w rogalik, wijemy gniazdo — zaciszne i bezpieczne łono macierzyńskie. Zamieniamy się w dzieci, posapujemy, cmokamy wargami, odsuwając na bok późniejsze nawarstwienia. W tym powszechnym, codziennym staczaniu się do dzieciństwa tkwi jakiś powrót ku sobie, ku swojej pierwotnej pozycji, która była i będzie najważniejszą w życiu, gdy wszystko inne to błahostki. Zasypiając, zrywamy ze światem, zrzucamy maskę zawodu, wieku, kultury, narodowości, — powracamy do domu i nareszcie pozostajemy w naszym najpierwszym stanie, śmieśni i bezbronni. To nasze korzenie, nasze ostateczne „ja”, które nawet trudno uznać za „ja”, ponieważ we śnie wszyscy jesteśmy jednakowi jak niemowlęta.

A z drugiej strony sen to jakby sceniczna próba śmierci. Zasypiając, umieramy: kładziemy się, zakrywamy oczy, tracimy świadomość i niewykłuczone, że częściowo żyjemy w jakimś innym świecie. Z powszedniego życia docierają tam odgłosy, ale w niezmałconej głębi snu odczuwamy coś innego, coś niepodobnego do naszego zwykłego bytu — kołyskę i żywot matki, z którego rodzimy się rano, odnowieni i odmłodzeni. Sen, podobnie jak śmierć, daje posmak niebytu, niepamięci, spokoju i dziecięcej błogości. Mówią, że przed śmiercią człowiek z wyjątkową intensywnością wspomina dzieciństwo. Tak też powinno być: nie umiera „hrabia Tołstoj”, ani pisarz i myśliciel, umiera „Le-
oś”.

Człowiek przez całe życie nosi ze sobą okres dzieciństwa jako jedyną, niezastąpioną treść. Wspominając owe czasy, gdy się miało dwa, pięć, siedem lat, dobitnie zdajemy sobie sprawę z ich związkiem z nami, chociaż biorąc rzecz logicznie, nie ma żadnego podobieństwa między naszą dorosłą osobowością i dziecięcą sytuacją. Ale pamięć, która nie zależy od logicznych racji, nie czyni zbyt jaskrawych różnic między jednym a drugim, i każdy z nas może powiedzieć: pamiętam, kąpali mnie w niecce, a ja, patrząc na żarówkę, mówiłem „miau”. I przecież nie kto inny, to ja mówiłem „miau” i to „miau” jest ściśle ze mną złączone, to jestem właśnie ja. Gdy porównujemy wiek młodzieńczy z dojrzałym, niekiedy po prostu trudno uwierzyć, że mogliśmy zrobić to i tamto, to i tamto powiedzieć (zmiana przekonań, zainteresowań i tak dalej). Ze stanowiska „osobowości” często przypominamy różne czyny i uczucia jako coś obcego. Jedynie dzieciństwo zachowuje aż do starości swoją nieprzemijającą autentyczność.

Nawet w rodzeniu dzieci tkwi element powrotu do swego niemowlęstwa; nie będąc w stanie stać się dziećmi, fundujemy sobie małego. Naturalnie, działają tu roszczenia naszej dorosłej osobowości, pragnącej przedłużyć siebie poprzez potomstwo. Wszyscy przecież pragną mieć dzieciaka, a nie trzydziestoletniego faceta, który „podobny jest do mnie”, marzą o małym chłopcu, o dzieciątku. Uczucie to występuje jeszcze wyraziściej u kobiet: pozbawione naszych pysznych skłonności, po prostu chcą mieć to małe dziecko bez specjalnego dążenia do utrwalenia w nim swojej „niepowtarzalnej indywidualności”. Nawet babcie pragną mieć wnuczka i zabawiają się nimi jak lalkami, namiętnie dziecinnieją i szeplenią jak niemowlęta. A dlaczegoż nie miałyby raczej upodobnić się do podlotków? Chyba właśnie dlatego, że noworodek jest bardziej pożądany i bliższy, ponieważ rozpoznają w nim i odzyskują same siebie.

I tak oto, jeżeli zestawić ze sobą to wszystko — sen, dzieciństwo, śmierć — okazuje się, iż życie, przeżyte jako „świadomy rozwój osobowości”, rozwiewa się z łatwością i nie jest przydatne na nic. Niezależnie od tego kim staniemy się, czego nauczymy się, pozostaniemy wyłącznie z tą zdobyczą, jaką mieliśmy w dzieciństwie i mamy przed zapadnięciem w sen. I odejdziemy stąd tylko z tym stanem posiadania, jedynie z nim, zapomniawszy na zawsze wszystkie inne zdobycze — wiedzę, pieniądze, sławę, prace, książki, wszystko to, co utrwaliło naszą osobowość, ale nie posiada żadnej wartości przed obliczem dziecka, snu i śmierci.

Całowiek przez całe życie nosi ze sobą okruszek dzieciństwa jako jedyną, niezastąpioną treść. Wspominając owe czasy, gdy się miało dwa, pięć, siedem lat, dobitnie zdajemy sobie sprawę z ich związkami z nami, chociaż biorąc rzecz logicznie, nie ma żadnego podobieństwa między naszymi ówczesnymi osobowością i dzisiejszymi. Ale pamięć, która nie zależy od logicznych kryteriów, nie czyni różnic między jednym z drugim, i każdy z nas może powiedzieć: pamiętam, stałam się kapaliem w niecały, a ja, patrząc na zarówek, mówię „mama”. I przecież nie tłumaczy mi to, że „mama” to „mama” i „mama” to „mama”.

Gdy tylko zaczniesz swe myśli zbierać i porządkować, urywają się i więcej nie przychodzą...



I tak oto, jeżeli zastawisz się w sposób wyjątkowy, dzieciństwo — okazuje się, iż jest przede wszystkim „świadomością” — świadomością, która nie jest przydatna na nic. Niezależnie od tego kim staniemy się, czego nauczymy się, czego staniemy wylicznie z tego zdobywać, jako miłośnicy w dzieciństwie i mamy przed zapadnięciem w sen. I odeszły dni, gdy tylko z tym stanem posiadania, jedynie z nim, zapoznawaliśmy się w czasie wakacji, inne zdobyć — wtedy, kiedyś, sławę, pracę, kasy, wsty — kto to, co utrwaliło naszą osobowość, ale nie posiadał żadnej wartości przed obliczem dziecka, sam i samotnie.

A C H E V E D'IMPRIMER
LE 14 JANVIER 1965
SUR LES PRESSES DE
L'IMPRIMERIE RICHARD
24, RUE STEPHENSON,
PARIS (XVIII^e)

Dépôt légal : 1^{er} trim. 1965

Inst. Liter. Paryz¹
17 - XII - 65~

Cena 7,50 F. (11/6; dol. 1,75)